

Z ARIZONY NA MAJDAN - Z PRZESIADKĄ W GARWOLINIE

Ostatni dzień sierpnia oznaczać może ☞ jak wiadomo - wiele rzeczy dla wielu bardzo różnych osób, a nawet narodów. Aktualnie tutaj na kontynencie Ameryki Północnej, ostatni dzień sierpnia był dla wielu dniem pożegnania z senatorem McCainem, w jednej osobie rycerzem zimnej wojny, a jednocześnie politykiem pełnym ludzkich cnót, dla wielu jawiącemu się jako człowiek o gorącym sercu, zdolnemu, gdy trzeba, do okazania solidarności i to nie tylko tej żołnierskiej. Jednakowoż każdy, kto ma jaką taką pamięć i traktuje siebie poważnie, zgodzi się pewnie, że prawie codzienne nazywanie Johna McCain bohaterem narodowym przez liberalną lewicę w Stanach Zjednoczonych obciążone jest sporą dozą zakłamania. Wszak w latach siedemdziesiątych bardzo wielu celebrytów z Hollywood i największych stacji telewizyjnych Ameryki prezentowało ludzi takich jak McCain w sposób jak najgorszy, niekiedy wprost jako bezdusznych morderców dzieci wietnamskich i podpalaczy ryżowisk. Jak to się prawie wszystko przez te trzy lata podwracało. Trump woli potępiać Francję, Niemcy iKanadę, a słów uznania nie szczędzi Putinowi. Dobrze chociaż, że emerytka hollywoodzka Jane Fonda zachowała przyzwoitość i nie przyszło jej do głowy, aby wprosić się na pogrzeb McCaina, by i tym razem ☞ dobrze wypaść. Może uznała, że nic nie pobije pikanterii jej ówczesnego (1967 r) pamiętnego zdjęcia z Hanoi na tle północno-wietnamskiego działa przeciwlotniczego, a może po prostu - poszła najzwyczajniej po rozum do głowy.

Ponieważ trudno ostatnio oddzielić sacrum od profanum, to co należy do historii od tego co należy do etyki, zgodzić się wypada, iż te wszystkie pochwały liberalno-lewicowych celebrytów dla McCaina, mają jednak żywy związek z jego niedawnym sporem z głównym lokatorem Białego Domu. Z jednej strony mamy przysłowiowego "jastrzębia", uznawanego za bohatera wojennego, wychowanego w kulcie tradycji trzech pokoleń rodzin wojskowych, a z drugiej stoi przed nami czterokrotny symulant nie chcący iść na wojnę, nie z pobudek pacyfistycznych, ale z przyczyn przyziemnych - jak sam Trump wyznał - wolał wyreklamować się od wojska, gdyż w tamtych czasach interesowały go tylko dwie rzeczy: seks i zarabianie pieniędzy. Jeszcze 25 lat temu takie otwarte wyznanie wartości życiowych ucinął w USA wszelkie marzenia o prezydenturze. W naszych czasach ☞ już nie.

Sięgając pamięcią do okresu "Pierwszej Solidarności" muszę przyznać, że z tamtego okresu wyłania mi się kilka scenek ilustrujących ówczesny stan ducha moich rodaków. Oto czekając posłusznie na jesieni roku 1981 w kolejce po benzynę w Ostródzie czy Nidzicy na Mazurach zdarzyło mi się zamienić kilka słów z pracownikiem CPN-u . Przeklinając z lubością panującą w kraju komunę, ów rodak wyrzucił z siebie to, co mu leżało na wątrobie kończąc swoją wiązkę słowami: "Hitlera na nich potrzeba". Przyznam, że nie pouczałem rozmówcy, że noszony przez niego na kombinezonie znaczek "Solidarności", jakoś się gryzie z tym życzeniem aby na jednego dyktatora napuścić drugiego, aby, innymi słowy, tyfus zwalczać zarazkami cholery. Druga scenka pochodzi z okolic Garwolina, gdzieś na szosie Warszawa-Lublin - czas ten sam (wrzesień 1981 r.). Wybrałem się aby porozmawiać z pewnym panem hodującym jedwabniki i zaprosić go na spotkanie w warszawskiej SGGW, gdzie wówczas pracowałem. W tej niezbyt długiej wyprawie towarzyszyła mi urocza koleżanka z uczelni mająca pochodzenie i nazwisko ormiańskie. Wygląd zresztą

też. Po staropolskim poczęstunku, gospodarz zaprowadził mnie do swoich jedwabników, zostawiając koleżankę na pogawędce z żoną. Jakoż okazało się, że o tych pożytecznych stworzonkach pan Włodzimierz (takie mu nadam imię) mówił krótko, bo w sumie pociągał go inny temat. Zagaił więc: - To teraz znowu "ci nasi" mają dojść do władzy? Pytał mnie - jak zrozumiałem - retorycznie robiąc ruch głową w stronę salonu. Cóż miałem robić? Wróciłem do tematu jedwabników.

W minionym dopiero co sierpniu, w Rumunii, w Polsce (i kilku innych miejscach) obywatele nie raz i nie dwa dawali znać rządzącym, że nie życzą sobie, aby mianowany prawem kaduka przez ponoć nieomylną władzę urzędnik ferował wyroki sądowe lub wetował kontrakty na miliardy dolarów. Nie jest ważne, że w Polsce chętnych do wyrażania swoich opinii jest jedna dziesiąta tego co w Rumunii. Po prostu naszym rodakom w starym kraju żyje się lepiej niż Rumunom - zatem łatwiej ich przekonać, że zamiast nudnych i trudnych procedur wystarczy przemądry król Salomon, w którego geniusz wierzy połowa Lechitów. Czwórkwowi i piątkowi absolwenci prawa załamują ręce, podczas gdy trójkowicze idą tłumnie po władzę. Można tę kwestię także wyjaśnić na modelu Majdanu kozackiego, gdzieś u ujścia Dniepru 400 lat temu. Tam niepotrzebni byli bakałarze, uczeni w prawie, sofiści po trzech fakultetach. To sam lud wymierzał sprawiedliwość w sposób bezwzględny, a zwłaszcza szybki. Po szczegóły odsyłam do pierwszego tomu "Ogniem i mieczem" Sienkiewicza. Niestety, do tego standardu ludowej sprawiedliwości nie dorastają nawet najbardziej żarliwi i patriotyczni członkowie partii rządzącej w naszym starym kraju. Jakaż to musi być dla nich męka - te ciągłe udawanie pół-liberałów i ćwierć-demokratów ☹ po to tylko aby za rok czy dwa rozpostrzeć nareszcie pajęczą sieć powszechnej kontroli wszystkiego i wszystkich. Dopiero wtedy ktoś bardzo ważny na samej górze będzie mógł powiedzieć patrząc na ten "krajobraz po bitwie" z lotu ptaka. "O, właśnie o to mi chodziło. Za miękko jak na dyktaturę, ale za twardo jak na demokrację liberalną." Czyżby na tym polegała polska wersja słynnej teorii salami?

Pożyjemy zobaczymy.